

MAGAZYN KONFEKCYI DAMSKIEJ

Leona Grabowskiego w Krakowie, Plac Maryacki L. 9

róg Rynku głównego

poleca bogaty wybór okryć damskich i kostyumów bluzek
strojnych i angielskich, boa strusich i rękawiczek.

Sprzedaż materiałów na metry.

WŁASNA PRACOWNIA.

MAURZYCY LEBLANC.

WYDRAŻONA IGŁA.

Tajemnicze przygody Arseniusza Lupina.

22

(Ciąg dalszy).

— Pochodzą one ze średnich wieków, rzekł, oświetlenie jednak jest nowoczesne. Panowie ci używają dobrych lamp.

Ruszył dalej. Tunel kończył się nową, lecz mniejszą grota, z przeciwnej strony której zaczynały się inne schody, wiodące pod górę.

— Obecnie będziemy wstępować na Igłę — zauważył Ganimard — sprawa staje się poważniejszą.

W chwili tej odwołał go jeden z podwładnych.

— Panie naczelniku, tam na lewo są również schody.

Jednocześnie znaleźli i trzecie schody na prawo.

— Do licha — szepnął inspektor — sprawa komplikuje się. Jeżeli pójdziemy tędy, uciekną tamtędy.

— Podzielmy się — zaproponował Beautrelet.

— Nie... nie... to osłabiłoby nas. Najlepiej byłoby, jeżeliby jeden z nas udał się na wywiad.

— Ja, o ile pan się zgodzi...

— Pan? dobrze. Ja pozostanę ze swymi ludźmi... teraz niema czego się obawiać. Bardzo możliwe, że są jeszcze inne drogi oprócz tej, którą myśmvszli, a zapewne przechodzi ich kilka i przez Igłę. Między jednak brzegiem morskim a Igłą niema z pewnością innej komunikacji, jak tylko ten tunel. Nie mogą więc ominąć tej groty. Zatrzymam się tu aż do pańskiego powrotu. Ale, panie Beautrelet, przedewszystkiem roztropność... przy najmniejszym szmerze padać na ziemię.

Izydor znikł szybko na środkowych schodach. Przy trzydziestym stopniu zatrzymały go nowe, ale tym razem już zupełnie zwykłe, drewniane drzwi. Schwycił za klamkę i nacisnął. Drzwi nie były zamknięte. Wszedł do sali, która z powodu swej wielkości, wydała mu się bardzo niską. Oświetlona dużymi latarniami, podparta grubymi słupami, między którymi otwierały się długie perspektywy, musiała być tych samych rozmiarów, co i Igła. Zapełniały ją całe masy pak, różnych mebli, foteli, kufków, szaf, jakie można widzieć nieraz w piwnicach u orzekupniów starożytności. Na prawo i na lewo Beautrelet dostrzegł dwa otwory schodów, bez wątpienia tych samych, które zaczynały się w dolnej grocie. Mógł więc zejść i zawiadomić o tem Ganimarda, wprost jednak niego wznosiły się jakieś nowe schody, na które wstąpił, ulegając swej ciekawości.

Jeszcze trzydzieści stopni. Drzwi i znowu sala, lecz już mniejsza. I na wprost nowe schody. Jeszcze trzydzieści stopni. Drzwi. I sala jeszcze mniejsza...

Beautrelet domyślił się teraz planu robót, wykonanych we wnętrzu Igły. Była to cała serya sal jedna nad drugą i przez to coraz mniejszych. Wszystkie służyły na magazyny. W czwartej nie było już lampy, przez szczeliny przenikało światło dzienne i Beautrelet dojrzał morze na dwanaście metrów w dół.

W chwili tej poczuł się tak oddalonym od Ganimarda, iż zaczął opanowywać go jakiś smutek i niepokój; musiał skupić całą swą wolę, by nie uciec stąd. Żadne jednak niebezpieczeństwo nie groziło mu i dokoła panowała taka cisza, iż przyszło mu nawet na myśl, czy przypadkiem Lupin wraz z swymi współnikami nie opuścił już zupełnie Igły.

— Zatrzymam się na wyższym piętrze — pomyślał.

Ciągle trzydzieści stopni, potem drzwi lekkie, świeżej roboty. Popchnął je, gotów do ucieczki.

Niema nikogo. Sala ta jednak różniła się swem przeznaczeniem od poprzedniej. Na ścianach gobeliny, na podłodze dywany. Naprzeciw siebie stały dwa wspaniałe kredensy, srebrne i kryształowe. W wąskich oknach, wykonanych w szczelinach, były szyby. Po środku sali znajdował się stół, bogato zastawiony, ubrany świeżymi kwiatami, z cukrami, butelkami szampana i kieliszkami. Na stole trzy nakrycia.

Beautrelet zbliżył się. Na serwetach leżały karty wizytowe, z nazwiskami zaproszonych gości.

Naprzód przeczytał: Arseniusz Lupin. Wprost: Arseniuszowa Lupin. Wziął trzecią kartę i zadrżał ze zdumienia. Na tej widniał napis: Izydor Beautrelet!

X.

Skarb królów Franeyi.

Rozsunęła się portyera.

— Jak się masz, drogi Izydorze. Spóźnił się pan trochę. Śniadanie naznaczono punkt na dwunastą. Kilka jednak minut... Lecz co się stało? Pan nie poznaje mnie? Czyżbym tak się zmienił!

Przez cały przeciąg walk przeciw Lupinowi, Beautrelet doznał już nie jednej niespodzianki i obecnie, w chwili rozwiązania całej sprawy, przygotowany był na różne przejścia, takiego jednak zwrotu nie oczekiwał ani jednej chwili. Nie było to zdziwienie, lecz osłupienie, przerażenie.

Człowiek, którego miał przed sobą, którego rozgrywające się obecnie wypadki kazały mu uważać za Arseniusza Lupina, człowiekiem tym był Valmeras. Valmeras! Właściciel zamku Iglatego. Valmeras! ten sam, u którego szukał pomocy przeciw Arseniuszowi Lupin. Valmeras! jego towarzyszył wycieczki do Crozant. Valmeras! Ten dzielny pomocnik, który umożliwił oswobodzenie jego ojca i panny Saint-Veran przez rzucenie się i ubezwładnienie w ciemnościach westibulu współnika Lupina!

— Pan... pan... Więc to pan! — jękał się.

— Dlaczegożby nie! — zawołał Lupin. — Czyż sądził pan, że zna mnie już zupełnie, ponieważ widział mnie pan raz w przebraniu duchownego anglikańskiego i Massibana? Niestety! gdy się wybrało takie stanowisko społeczne, jakie ja zajmuję, trzeba korzystać z talentów, którymi natura nas obdarzyła. Jeżeliby Lupin nie mógł być dowoli to duchownym anglikańskim, to członkiem Akademii, nie mógłby być sobą. Lupin, prawdziwy Lupin stoi teraz przed panem. Niech pan mu się dobrze przyjrzy.

— Lecz w takim razie... jeżeli to pan... to... panna...

— Ależ tak, Izydorze, jak mówisz...

Rozsunął znowu portyere, dał znak i oznajmił:

— Pani Arseniuszowa Lupin.

— Ach! — zawołał młody uczeń zmieszany bezwiednie — panna de Saint-Veran!

— Nie, nie, — zaprzeczył Lupin — pani Arseniuszowa Lupin, a raczej jak pan woli, pani Ludwikowa Valmeras, moja ślubna małżonka wedle wszelkich praw. I dzięki przytem panu, drogi Izydorze.

Wyciągnął do niego rękę.

— Najserdeczniejsze me podziękowania..., które może przyjmie pan bez urazy.

I rzecz dziwna, lecz Beautrelet nie miał żadnej urazy, nie doznał żadnego uczucia poniżenia. Tak bardzo odczuwał niezmierną wyższość nad sobą swego przeciwnika, iż nawet nie zarumienił się wobec tej nowej swej porażki. Ucisnął podaną sobie rękę.

W chwili tej ukazał się służący i postawił na stole srebrną tacę z różnymi potrawami.

— Pan nam wybacz, lecz kucharz nasz jest na urlopie i musimy zadowolić się zimnymi potrawami.

Beautrelet nie miał najmniejszej ochoty do jedzenia. Usiadł minoto, przejęty całkowicie patrzeniem na Lupina. Co on wiedział w istocie? Czy zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie mu groziło? Czy wiedział o obecności Ganimarda i jego ludzi?

Lupin mówił dalej:

— Tak, dzięki panu, drogi przyjacielu. Ja z Elżbietą rzeczywiście kochaliśmy się od pierwszej chwili. Tak tak, mój małv... Porwanie Elżbiety, jej więzienie, wszystko to blaga: myśmy się kochali... Lecz ona, jak również i ja ani na moment jeden nie dopuściliśmy myśli, by miłość nasza mogła być przejściowa, by związek nasz zależny był ciągle od wypadków. Położenie więc było bez wyjścia dla Lupina. Na szczęście nie tak się ono przedstawiło, gdy postanowił stać się na nowo Ludwikiem Valmeras, jakim byłem od urodzenia. Myśl ta przyszła mi wówczas, gdy pan nie zaniechał tej sprawy i odnalazł Iglasty zamek; skorzystałem tylko z pańskiego uporu.

— I z mej głupoty.

— Cóż znowu! wszyscy by w to uwierzyli.

— A więc pod moją opieką i z moją pomocą udało się to panu.

— Jakże mogło być inaczej! Jakże można było przypuszczać, że Valmeras jest Lupinem, kiedy Valmeras jest przyjacielem Beautreleta i pomógł sam odebrać Lupinowi tę, którą Lupin kochał? Było to coś wspaniałego. Co za piękne wspomnienia! Wycieczka do Crozant! znalezione bukiety! mój list miłosny do Elżbiety! a potem te ostrożności, jakie ja, Valmeras, musiałem przedsięwziąć przed ślubem przeciw Lupinowi. I wieczór ten, podczas sławnego bankietu, wydanego na pańską cześć, gdy pan osunął się zemdłony na me ręce! Piękne wspomnienia!...

Nastąpiło milczenie. Beautrelet obserwował Elżbietę. Słuchała Lupina, nie odzywając się ani słowem i patrzyła na niego wzrokiem, w którym malowała się miłość, namiętność i jeszcze coś, czego młody uczeń nie umiał określić, jakieś zakłopotanie, zmieszane ze smutkiem.

Lupin zwrócił swe oczy na nią i uśmiechnęła się czule do niego. Ucisnęli się za ręce ponad stołem.

— Co powiesz, Izydorze, o mem urządzeniu? zapytał Lupin... Prawda, sympatycznie tu? Nie twierdzą, by był to największy wykwin... Mimo to zadawali się tem ludzie nie powszedni... Popatrz na listę osób, które były właścicielami Igły i które raczyły zostawić ślady swej tu obecności.

Na ścianach były wyrzeźbione następujące imiona:

Cezar, Karol, Roll, Wilhelm Zdobywca,

Ryszard, król Anglii, Ludwik XI, Franciszek,

Henryk IV, Ludwik XIV, Arseniusz Lupin.

— Kto teraz się tu podpisze? — mówił dalej. — Niestety! lista zamknięta. Od Cezara do Lupina... i to wszystko. Wkrótce zjawiać się tu będą tłumy, by zwiedzać tajemniczą cytadelę. I pomyśleć tylko, że bez Lupina pozostałoby to wszystko na zawsze nieznanem! Ach! Izydorze, jakiej dumy doznałem, gdy po raz pierwszy tu wstąpił! Odnaleść utraconą tajemnicę, stać się jej posiadaczem! Dziedzic takiego spadku! Po tylu królach zamieszkiwać samemu Igłę!...

Przerwała mu żona ruchem ręki. Wydawała się bardzo niespokojną.

— Hałas — rzekła... — hałas pod nami... słyszą panowie...

— To plusk wody — odparł Lupin.

— Nie, nie... Znam szmer fal... to coś innego...

— Co chcesz, moja droga, by to było — rzekł Lupin z uśmiechem. — Tylko Beautreleta jednego zaprosiłem na śniadanie.

A zwracając się do służącego, zapytał:

— Charolais, czyś zamknął za panem drzwi na schodach?